

Czesław Miłosz o Józefie Mackiewiczu

Pruszyński, Iwaszkiewicz. A teraz nawiedza mnie zupełnie inny od nich człowiek i pisarz, Józef Mackiewicz. Przed wojną był współpracownikiem wileńskiego Słowa, którego redaktor, brat jego, Stanisław Mackiewicz, robił dużo szumu, działał artykułami, politykował, pojedynkował się (na szable), trafił za opozycyjność do obozu w Berezie Kartuskiej. Józef natomiast siedział gdzieś w redakcji i tyle o nim wiadomo. Później wszystko się odwróciło. Stanisław w dziejach polskiego piśmiennictwa zostanie jako publicysta, Józef jako wybitny powieściopisarz.

Józef Mackiewicz wydał w 1938 roku Bunt rojstów. Były to jego reportaże z Wileńszczyzny, zebrane w podróżach autobusem i konnym wózkiem po drogach Białorusi. Kiedy teraz w Kalifornii myślę o tamtym kraju, wydaje mi się fascynujący, o rzadkim bogactwie poplątanych wątków narodowościowych, wyznaniowych, klasowych, tudzież bogactwa swojej historii. Tym bardziej umiem to ocenić, że czytałem coś niecoś o historii kolonii, na przykład Wysp Karaibskich. Egzotyka, palmy, tropikalne morze-i horror zupełnej historycznej pustki, chciwości, wyzysku, najwyżej kryminalna kronika białych awanturników i piratów. Wileńszczyzna międzywojenna, choć szara, między lasem sosnowym i rojstem, powinna była i swoją przeszłością i terażniejszością natchnąć wielu pisarzy. Cóż kiedy ich nie było. Na pewno by się pojawili, okres dwudziestolecia po prostu za krótki. Poza tym istniały przeszkody. Piszący po polsku rośli w tradycjach szlacheckiego dworu i musieliby wyrwać się z tej zakłętej orbity, żeby szerszą rzeczywistość zobaczyć. Białorusini zapeklowani w swoim narodowościowym oporze nie zdobywali się jeszcze na nic poza poezją (maksym Tank): wileńska grupa pisząca w jidysz, "Junge Wilno", tego pokolenia i skłonności co "Żagary", była poetycka. Wilno wydało wybitnego prozaika, Chaima Grade, kronikarza małych żydowskich miasteczek na Litwie i Białorusi, ale ten rozwinął się po wojnie, w Ameryce, tak jak Izaak Baszewis Singer.

Józef Mackiewicz w Buncie rojstów swoje reportaże układał z niezależnością i przekorą, które miały przyczynić mu później nieszczęść. Wykroczył poza zwykłą polską orbitę i zamiast dworem, zajął się prowincją "tutejszych", czy w domu mówili po polsku czy białorusku, zwłaszcza zjawiskiem popularnych na tej prowincji sekt religijnych, równie niechętnych katolicyzmowi jak prawosławiu. Dużo też codzienności kraju przedostało się do książki. Podobno Wileńszczyzna ukazuje się w powieści Floriana Czarnyszewicza Chłopcy z Nowoszyszek, napisanej w Argentynie. Głównym jej tematem są starcia pomiędzy katolikami i prawosławnymi, w obrębie tej samej wioski, co oznaczało nie tyle opcję narodowościową polską albo białoruską, ile państwową, za Polską albo za Sowieciami. Jak ostatecznie włączałyby się w ten galimatias Wileńszczyzna sekciarska, nigdy się nie dowiemy.

Józefa Mackiewicza za mojej wileńskiej młodości prawie wcale nie znałem. Mrukliwy, z tych, których trochę krzywy nos zagłęda w kieliszek, w maciejówce, często w samodziale i długich butach, mógłby uchodzić za szaraczkowatego szlachcica prosto ze wsi. Lubił nocą popijać w wileńskich restauracjach, jak inny współpracownik Słowa, Jerzy Wyszomirski, ale w przeciwieństwie do niego literaturą się nie interesował. A już o poezji na pewno nie można było z nim gadać. Choć miał, zdaje się, duże odczytanie rodzaju wtedy u nas nierzadkiego: w literaturze rosyjskiej dziewiętnastego wieku.

Nie umiałbym go sobie wyobrazić jako literata Warszawy czy Krakowa. Mieszkał w mieście, które było dla niego nadal stolicą Wielkiego Xięstwa Litewskiego i był tego kraju patriotą. Myślę, że już dzisiaj trudno jest młodszemu pokoleniu przedstawić sobie, o jaki splot lojalności tutaj chodziło i dlaczego tacy jak on z równą niechęcią odnosili się do patriotów polskich, jak do patriotów litewskich czy białoruskich. Ostatnio znów czytałem artykuły i eseje Mackiewicza wydane w Londynie, gdzie mówi o "rozbiórce wewnętrznym" Wielkiego Xięstwa dokonanej przez Polaków, Litwinów i Białorusinów. "Sukcesor do całości się nie zgłosił. Po prostu nie było takiego. Każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek". Uważam go za pisarza najzupełniej prawdomównego i myślę, że wcale nie przesadza, kiedy pisze: "Stąd wynikł spór narastający w walkę otwartą o języki, o kulturę, o tradycje, interpretację historii, o religię. Bój prowadzony był też i na pięści, na pałki po kościołach i cerkwiach świętych, na noże, na hołoble, na pistolety, aż w końcu, podczas ostatniej wojny, na donosy po urzędach Gestapo czy NKWD. Nienawiść, według wszelkich praw natury, rodziła nienawiść".

Według Mackiewicza strona polska ponosi może największą odpowiedzialność, bo "sukcesorzy po spuściznę całości ziem Wielkiego Xięstwa" zostali spolonizowani i kulturalnie i politycznie, tak, że rodzącym się nacjonalizmowi umieli przeciwstawić tylko nacjonalizm polski. "W rezultacie znaleźli się we własnym kraju w sytuacji drastycznej, rzeczników innego państwa, a stąd do potraktowania ich jako obcych agentów przez absolutnie przytłaczającą większość mieszkańców, był już tylko krok jeden".

Przykład mojej rodziny? Mój kuzyn Oskar Miłosz był pierwszym przedstawicielem niepodległej Litwy w Paryżu, co dla Polaków równało się zdradzie. Rodzice mojej matki, Kunatowie, byli lojalnymi obywatelami Litwy, narodowości polskiej, po litewsku nie mówili. Moja matka miała dwa obywatelstwa, litewskie i polskie, jako narodowość zawsze podawała polską, litewski znała słabo. Jej siostra natomiast mówiła po litewsku biegle. Mój ojciec był ogłoszony w Litwie zdrajcą z powodu swojej przynależności do POW. Został umieszczony na czarnej liście i wstęp do swego kraju urodzenia miał zamknięty. Niemniej dnia 17 września 1939 roku, kiedy udało mu się dotrzeć do granicy litewskiej z miasteczka Głębokie, gdzie pracował jako inżynier powiatowy, Litwini okazali się wspaniałomyślni, jak wtedy wobec mnóstwa uchodźców z Polski, i mimo że wiedzieli, kim jest, do Litwy wpuścili. Nie był prześladowany za swoje dawne grzechy.

Zdaniem Mackiewicza jedynym świadomym patriotą Wielkiego Xięstwa był Ludwik Abramowicz, redaktor i wydawca Przeglądu Wileńskiego. Zgłaszał roszczenia" do sukcesji po całości, przy całkowitym równouprawnieniu narodów ziemie te zamieszkujących. Jego program różnił się od wszelkich pomysłów federacyjnych, w tym też od federalizmu Piłsudskiego, bo te kierowały się przede wszystkim polskim interesem i polską racją stanu. W tej perspektywie złamanie przez Polaków Traktatu Suwalskiego i zagarnięcie Wilna, jak i fikcyjność "Litwy Środkowej", obciążały rachunek zwolenników "idei jagiellońskiej". Nie wiem, jak Mackiewicz odnosił się do księdza Waleriana Meysztowicza, który Wielkie Xięstwo uważał za twórcę swoich przodków, niemal za własność wielkopańskich rodów i słał patriarchalne stosunki pomiędzy dworem i chłopem. Prawdopodobnie zaliczał go do tych, których polskość, rozumiejąca się sama przez się, była odpowiedzialna za nieufność wobec idei Unii ze strony Litwinów i Białorusinów, tak że woleli nawet mieć do czynienia z otwartymi nacjonalistami.

Przedwojenne Wilno wróciło, kiedy teraz czytałem (w korekcie) pamiętnik Lucy S. Dawidowicz, From Tbat Place and Time. Wychowana w New Yorku, spędziła w Wilnie rok 1938/ 1939, przeprowadzając badania w tamtejszym Żydowskim Instytucie Naukowym. Jest to bardzo pożyteczna lektura, bo przypomina o ważnym innym Wilnie, którego żydowskie tradycje wyrobiły mu imię "Jeruzalem Północy". Trzecia mniej więcej część jego ludności niewiele miała wspólnego z państwem, w którym się znalazła, mówiła jidysz i częściowo, w górnej swojej warstwie, po rosyjsku. Pamiętnik Dawidowicz, nie znającej polskiego, dotyczy przede wszystkim podziału na "my" i "wy", tudzież prześladowań. Jeden z jej wileńskich przyjaciół, dziennikarz, stracił oko podczas studenckich antysemickich rozruchów w 1931 roku (te pamiętam). Ostatni rok przed wybuchem wojny przyniósł całkowite zwycięstwo programu endeckiego, wcielonego w życie przez OZON: pikietowanie sklepów żydowskich, projekty ustawy zabraniającej uboju rytualnego, mnóstwo zarządzeń przymusowej polonizacji, nade wszystko jednak propaganda antysemicka, w której rywalizowali ze sobą prasa rządowa i prasa późniejszego świętego, O. Maksymiliana Kolbe. Wilno w relacji Dawidowicz było miastem niebezpiecznym: powtarzały się napady chuliganów uzbrojonych w laski, tak że każde spotkanie z młodymi Polakami groziło pobiciem. Dawidowicz przyznaje, że kobiet i dzieci nie bili, co jednak nie umniejszało złowrogiemu plonu takich wydarzeń.

To Wilno chyba warte przypomnienia, kiedy mówi się o ostatecznym końcu Wielkiego Xięstwa. Dziarska polska młodzież, tłukąca pałkami swoich kolegów na uniwersytecie i urządzająca polowania na przechodniów, wkrótce mogła oglądać sowieckie czołgi otoczone entuzjastycznym tłumem żydowskiej młodzieży, choć wątpliwe, czy w jej umysłach połączyły się przyczyna i skutek. Sceny tego radosnego powitania na ulicach Wilna opisuje w swojej autobiograficznej książce Chaim Grade (My Motber's Sabbatb Days, przekład z jidysz), a ponieważ był pisarzem rzetelnym i dbał o obiektywizm, opowiada też, jak poszedł tego samego dnia do Katedry i jak żał mu było zebranego tam, śmiertelnie smutnego tłumu wiernych.

Moja bliższa znajomość z Mackiewiczem nastąpiła w 1940 roku, kiedy Juozas Keliuotis, redaktor Naujoji Romuwa, pomógł mi dostać się do litewskiego wówczas Wilna, co zresztą traktowałem jako etap przejściowy. Mackiewicz redagował jeden z dwóch wychodzących wtedy polskich dzienników w Wilnie, Gazetę Codzienną. Zastępcą redaktora był mój kolega z "Żagarów", Teodor Bujnicki. Zostałem współpracownikiem tego pisma, tak jak wielu literatów, miejscowych i uchodźców, m. in. Światopełk Karpiński i Janusz Minkiewicz. Polemizując po wielu latach z moim esejem o Bujnickim, Mackiewicz ("O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim", 1954) nie zgadza się z moim określeniem jego programu jako obrony "polskiego kantonu" w obrębie Litwy. I niewątpliwie ani żaden "polski kanton", ani Polska ani Litwa nie mogły zadowolić tego pogrobowca Wielkiego Xięstwa, skoro chciał iść w ślady Ludwika Abramowicza. W praktyce jednak program Gazety Codziennej do tego się sprowadzał i to ją różniło od Kuriera Wileńskiego, który stał się głosem polskiej ortodoksji, wyznawanej przez większość polskiego Wilna: dla niej przynależność Wilna do Litwy była po prostu litewską okupacją.

Z Mackiewiczem nigdy się bliżej nie przyjaźniłem, bo inne pokolenie i inny skład umysłu. Miałem dla niego szacunek jako dla pisarza, a też człowieka dobrej woli, który robi co może, i tego szacunku nigdy się nie pozbyłem. Co nie przeszkadzało mi zastanawiać się nad jego pokrętnymi losami. Pośród szlachty Wielkiego Xięstwa nie mało było krwistych awanturników, do których zaliczyłbym jego brata Stanisława, ale znany też był typ awanturnika cichego a zacieklego, co to nie popuści. Tak właśnie przedstawiam sobie Józefa. Narzuca się pytanie, w jakim stopniu samoswoja i sobiepańska jednostka, przekonana, że słuszność jest po jej stronie, ma obowiązek czy prawo występować przeciwko opinii publicznej. Żeby zapomnieć, co ta opinia reprezentuje i o naszej do niej sympatii czy antypatii, trzeba sporego wysiłku, ale tylko wtedy pytanie o społeczną rolę konformizmu nabiera mocy. Mackiewicz tkwił w swoim wileńskim szlacheckim środowisku byłych kawalerów z wojny 1920 roku jak on sam, teraz zwykle urzędników, ale też pojedynkowiczów i myśliwych, jak choćby jego przyjaciel Michał Pawlikowski z Mińszczyzny, który redagował myśliwski dodatek do Słowa pod tytułem "Gdzie to gdzie zagrały trąbki myśliwskie..." (z trzema kropkami, tak!) Niemniej wyłamywał się. Bardzo silnie naznaczony przez rosyjskie gimnazjum i przez swoje, w latach szkolnych, fanatyczne zainteresowanie książkami z zakresu zoologii i ornitologii (w czym byliśmy podobni), z wykształcenia i z nawyków obserwacji był przyrodnikiem. Może ta jakby pozytywistyczna zaprawa wyrobiła w nim sceptycyzm co do "polskiego Wilna". Naraził się temu Wilnu od pierwszych numerów Gazety Codziennej, ogłaszając artykuły, w których rozpacz i gniew z powodu wrześniowej klęski wyładowały się we wściekłych atakach na całą Polskę międzywojenną, tak że nie zostawiał na niej suchej nitki. Nie lubił Piłsudskiego ani sanacji (choć pracował przeciw w sanacyjnym Słowie), ale żeby znaleźć teraz współpracownika w osobie Piotra Kownackiego, "narodowca", i razem z nim rządy "pułkowników" wyszydzać, choć przeciw nic go poza tym z Kownackim nie łączyło, to już było dużo. Wyglądało to na znęcanie się nad powaloną Polską, żeby przypodobać się litewskim gospodarzom. Bez ustanku masakrowana przez cenzurę i oskarżana przez Litwinów o tendencje wywrotowe (bo co to za podstępne gadania o Wielkim Xięstwie?) Gazeta Codzienna dała początek potępieńczym swarom, w

których niejawnym przeciwko niej argumentem była "kolaboracja z okupantem". Czyli Mackiewicz wykazał talent do takiego ustawiania się, żeby być bitym przez obie strony. Miało się to powtórzyć później. Niewątpliwie uczucia gniewu i goryczy po klęsce były powszechne i dawał im wyraz z samego zgryzu, nie żeby się komuś przypodobać. Ale większość, choć tak samo czuła, powściągała się, bo jakoś nieładnie prać brudną bieliznę w tak smutnej chwili.

Wilno owego krótkiego okresu, czyli włączone do niepodległej Litwy, przeładowane uchodźcami, poddane przyśpieszonej lituanizacji, ustawowo i pałką jeżeli trzeba(ci, co niedawno bili Żydów, teraz byli bici, choć nie tylko oni, za śpiewanie w kościele po polsku), opływało mlekiem i miodem, jak to umieją urządzić gospodarni Litwini, miało znakomite restauracje i kawiarnie, w których handlowano walutą, kupowano paszporty i wize, planowano podróże na Zachód, a przede wszystkim było miastem przeróżnych plotek i zawsze niepomyślnych wieści. Litwa, otoczona przez złowrogie mocarstwa, przyciągała niby wyspa zbawienia nieszczęśników, którzy gotowi byli narażać skórę w wędrówce przez granicę na zielono, ale znalazłszy się u celu swoich marzeń, spostrzegali, że są w pułapce. Samoloty z Kowna na Zachód, przez neutralną Szwecję, jakiś czas kursowały. Sam nawet zgłosiłem się do nieoficjalnego polskiego przedstawicielstwa w Kownie, zostałem zakwalifikowany, miałem już miejsce, kiedy wyjazdowi położono koniec.

Nie myślę, żeby napięcia polsko- litewskie mnie bardzo obchodziły. Choć przyjaźń z Keliuotisem, który organizował spotkania polsko- litewskie, tzn. polskich i litewskich reprezentacyjnych postaci, żeby napięcia łagodzić, powinna była mnie angażować w tym kierunku. Nota bene Keliuotis, z Kowna, nie znał polskiego i zarówno podczas mojej wizyty w Kownie w 1938 roku, jak teraz, rozmawialiśmy po francusku, (Jego studia w Paryżu miały się okazać złym przygotowaniem dla przyszłego długoletniego więźnia gułagów). Olbrzymiość i groza wydarzeń pozbawiała wagi szarpania się polsko- litewskie i chyba po prostu wzruszałem ramionami. Mackiewicz we wspomnianym już eseju zarzuca mi deformację prawdy, kiedy powiadam, że "wiele nienawiści między Litwinami i Polakami szło w niepamięć". Jak zauważa, w Wilnie, wskutek nacjonalistycznej i niemądrej polityki władz litewskich, wrogość po polsku mówiącej ludności rosła. Lokalnie, tak. Jednak, niezależnie od obustronnych zacierzewień, istniał fakt podstawowy, ludzkiego zachowania się Litwy w dniach wrześniowej klęski, a także, jak rzekłem, niestosowność, a nawet śmieszność narodowościowych sporów.

Nie potrafię odtworzyć moich ówczesnych myśli. Jedną to z moich faz tak dużej, że prawie psychopatycznej obolałości, a na zewnątrz działań w służbie jednej obsesji. Nie mogłem pisać wierszy, jak na mnie, wystarczy za dowód choroby, całą energię natomiast zużywałem na wysiłki sprowadzenia Janki z Warszawy i zabrania jej na Zachód, ale granice jedne po drugich okazywały się zbyt niebezpieczne albo niemożliwe. Dostatecznie dużo zajęć, żeby unikać jasnego rozeznania. Kto zresztą je miał. Szok września 1939 był tak duży, że to przeżycie wymagało czasu, zanim należycie osiadło.

Więc Wilno niejasne. Nie tak bardzo jednak, żebym zagubił moje opcje polityczne. Moją współpracę z Gazetą Codzienną w znacznym stopniu tłumaczy osoba Bujnickiego, bo on głównie zajmował się w piśmie literaturą. Poza tym naprawdę bliżsi mi byli "krajowcy" niż prawowiernie patriotyczni Polacy, a jako krewny Oskara Miłosza, który chciał Wilna dla Litwy, nie mogłem hodować w sobie wrogości do "okupacji litewskiej".

Rząd litewskiego państwa niczego nam jednak nie ułatwiał, przeciwnie, prowadził w Wilnie politykę nierozumną, działając przeciwko własnym interesom. Podział mieszkańców na przeróżne kategorie piętnował większość z nich jako "ludność napływową", albo "uchodźców", w których to grupach znaleźli się nawet Wilnianie z dziada pradziada. Prawo do litewskich dowodów osobistych przyznano jedynie zameldowanym w określonych datach, bodaj od 1920 roku poczynając, ale umieszczona w tych dowodach rubryka "narodowość" miała na celu ograniczenie liczby obywateli pełnoprawnych. Woląłem dowód osobisty niż papiery uchodźcy, ale jakąż to narodowość mogłem podać, jeżeli nie polską? Zresztą dowód ten miałem wkrótce zniszczyć podczas przeprawy z Zofią Rogowicz do General Gouvernement, bo kolidował z fałszywą przepustką dla mieszkańca Suwałk.

Z tymi dawnymi żagarystami, którzy poszli do komunizmu, nie szukałem kontaktów. Pakt Mołotow- Ribbentrop ich całkowicie pograżał. Jedno z ostatnich moich o nich wystąpień na łamach Po prostu było akcesem do Frontu Ludowego w 1936 roku, ale kwaśnym, i dużo bym dał, gdybym mógł je dzisiaj przeczytać. Co prawda byłem zaproszony na zebranie, kiedy obmyślali tytuł nowego pisma po ubiciu Po prostu przez cenzurę. Ten tytuł, Karta, to mój wkład, bo tak jak Żagary pochodził z mego skromnego zasobu słów litewskich. Karta znaczy pokolenie, viena karta znaczy raz, co innego po polsku, więc powstaje pożądana wieloznaczność. Po paru numerach pismo znikło, zakazane.

Politycznie najbliżsi mi byli teraz w Wilnie socjaliści. Była to grupa, która utworzyła własną organizację "Wolność", złożoną z uchodźców i miejscowych. Z przybyszów :Władysław Malinowski i jego żona Halina, Stefan Salman (znany później jako Stefan Arski) z żoną Magdą Hertz., Zbigniew Mitzner, Zofia Rogowicz, Waclaw Zagórski, z miejscowych Renata Mayenowa, Władysław Ryńca. Trzymałem się z nimi. "Wolność" miała potężnego protektora za granicą, Oskara Lange, wówczas profesora ekonomii na Uniwersytecie Chicagowskim. Dzięki niemu Malinowscy i Salmanowie dostali się do Ameryki, przez obszary Rosji i Japonię, zdaje się ze szwedzkimi paszportami. Mitzner, Zagórski, Zofia Rogowicz i ja wywędrowaliśmy przez zielone granice do Warszawy, ja z Zofią, która parę już razy robiła szlak kurierski Suwalszczyzna, Prusy Wschodnie, Reich, General Gouvernement. Była żoną literata Waclawa Rogowicza, wtedy miała chyba pięćdziesiątkę. Wspominam ją jako dobrego kompana.

W kawiarni Rudnickiego naprzeciwko Katedry i raptem głośny grzechot żelastwa, wjazd sowieckich czołgów. Do dzisiaj jest to dla mnie jedno z najsmutniejszych zdarzeń mego życia, bo miałem jasną świadomość nieodwołalnego i obrzydliwe poczucie, że jestem świadkiem deptania bezbronych, bez oglądania się na jakiegokolwiek prawo, narodów. Tak właśnie wygląda doznanie nieszczęścia. Akurat wtedy padła Francja. Dwa monstra dzieliły łupy rozpoczynając tysiącletnie, jak im się zdawało, panowanie nad Europą.

Co by się stało gdybym nie uciekł z Wilna? W Prawdzie Wileńskiej jak Bujnicki albo na białe niedźwiedzie. Choć Janusz Minkiewicz i inni uratowali się, prowadząc kabaret literacki. O treści ich tekstów nic zresztą nie wiem. To, co wtedy nastąpiło, zostało wiernie opisane w powieści Mackiewicza Droga donikąd.

Z Mackiewiczem nie widziałem się więc od lata 1940 do lata 1944, kiedy dostał się do Warszawy. Czyli że nie byłem świadkiem jego poczynań w okupowanym przez Niemców Wilnie. Oskarżenia o kolaborację pochodziły z tych samych kół, które miały z Mackiewiczem na pieńku w okresie 1939- 1940, czyli szlak już był przetarty . Kiedy nad jednym z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy sprawuje się sąd kapturowy, bez prawa obrony, warto chyba zastanowić się, jakie poglądy w swoich pismach głosił, jak też kim byli jego oskarżyciele. Mackiewicz w tym co pisze nie jest nigdy wykrętny. Można mu wierzyć, kiedy wyjaśnia nieporozumienie wokół nazwiska w artykule ("Redaktor Bohdan Mackiewicz). Można mu też wierzyć, kiedy w swoich powieściach i powojennych esejach bez osłonek wyklada swoje stanowisko. Otóż moim zdaniem jego stanowisko było tak absolutnie nie-polskie, tzn. przeciwnie temu, co uchodziło za pewnik w umysłach ogromnej większości Polaków, że gdyby nawet był nieskazitelny, należałoby mu winę przyczepić. Ortodoksyjny pogląd polski na toczącą się wojnę zakładał wierność zachodnich Aliantów i przywrócenie państwa polskiego w granicach z 1939 roku. Tak wierzyło "polskie Wilno" i jego wojsko, czyli Ak. Dla Mackiewicza były to rojenia jednej narodowościowej mniejszości, która stan chwilowy lat międzywojennych chciała uznać za stały. W tej części Europy zwycięstwo mogło należeć albo do Niemiec, albo do Rosji i zarówno Litwini jak Białorusini czy Ukraińcy, wiedzieli, że nie mogą stawiać na Zachód. Ludność na ziemiach dawnego Wielkiego Xięstwa (z wyjątkiem Polaków i Żydów) witała Niemców entuzjastycznie i jak wiadomo tylko niepojęty niemiecki obłąd doprowadził do odwrócenia się nastrojów. Pozostawał komunizm, który Mackiewicz uważał za wielkie zło. Walkę z nim stawiał na pierwszym miejscu, ponad interesami narodowymi, i zarzucał Ak, że działając niby na rzecz Aliantów, w istocie pomaga zwycięstwu ich sojusznika, tj. Moskwy. Po upływie wielu dziesięcioleci wypada uznać, że ta ocena dobrze ujmowała los Polski, która, opierając się jednym i drugim, nadzieje pokładała w dalekich a obojętnych trzecich. Niestety ta realistyczna ocena dobrze służyła tylko Mackiewiczowi - powieściopisarzowi, pozwalając na bezlitosne pokazywanie ślepych zaułków historii. Jako program polityczny warta była zero. Nikt, nawet sam Mackiewicz, nie popierałby udziału w niemieckiej krucjacie, doszczętnie przez samych Niemców skompromitowanej.

Koniec Wielkiego Xięstwa

Autor: Czesław Miłosz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

Z jego pism wynika, że gdyby mógł wskrzesić Rosję carską, to by ją wskrzesił, bo uważał ją za państwo poszanowania prawa i tolerancji, zwłaszcza w porównaniu z tym, co nastąpiło wszędzie w następstwie I-ej wojny światowej. Tutaj szedł też całkowicie przeciwko polskiej opinii, która pomiędzy Rosją i komunizmem chętnie stawia znak równania, czemu zresztą trudno się dziwić, skoro np. sowiecka polityka masowych wywózek Polaków z ziem białoruskich i ukraińskich, zaczęta zaraz po rewolucji, była dalszym ciągiem polityki carskiej w dziewiętnastym wieku, tyle że środki zastosowano bardziej okrutne. Mackiewicz kategorycznie sprzeciwiał się uznawaniu komunizmu za twór specyficznie rosyjski i nie czuł żadnej wrogości do Rosjan, na których po prostu spadło nieszczęście komunistycznej władzy.

Co doradzałyby w Wilnie pod okupacją niemiecką, trudno dociec. Gdyby chodziło o wojnę pomiędzy Rosją i Niemcami, na pewno nie wahałby się stawać po stronie Rosji, ale skoro wielka gra toczyła się o oswobodzenie narodów od komunizmu, zdawał się być, teoretycznie, zwolennikiem jakiegoś przeczekania czy układu z Niemcami, co, szczerze mówiąc, nie różni się od kolaboracji. Tyle można wnioskować z jego pism powojennych, bo wtedy w Wilnie czynnym kolaborantem nie był.

Jednym z głównych argumentów używanych przez tych, którzy Mackiewicza bezwzględnie potępiają, jest artykuł Pawła Jasienicy "Moralne zwłoki szlachcica kresowego", pisany przez kogoś, kto wtedy był w Wilnie i jak sam powiada: "Służyłem w Armii Krajowej, miałem przydział do propagandy i pilne czytanie szmatławców zaliczało się do moich obowiązków". Zadałem sobie trud i wyszukałem książkę Jasienicy Ślady potyczek, w której ten tekst figuruje. Jasienica, jak wiadomo, to pseudonim. Występował pod nim mój kolega z Akademickiego Klubu Włóczęgów w Wilnie, wówczas student historii, Lech Beynar, nazywany u nas Bachusem. Nazwisko wcale nie żydowskie, jak próbowano podszeptywać, tylko tatarskie. Beynar pochodził z tatarskiej szlachty, choć, o ile wiem, nie był już mahometaninem. I imię Lech i później przybrane nazwisko Jasienica świadczą o katolicko - piastowskich przywiązaniach i jego, i jego rodziny.

Jeżeli poważny historyk i świadek wydarzeń pisze rzecz tak karygodnie lekkomyślną, to cóż mówić o innych. Beynar był człowiekiem prawym i nieustraszoną, nie mogąc się pogodzić z tym, co dla Mackiewicza było jasne, walczył do ostatka w oddziale Łupaszki i dostał po wojnie wyrok śmierci. Uratował go, zdaje się, Bolesław Piasecki, szef "Paxu". Nie przypominam sobie, żeby Beynar w naszym Klubie Włóczęgów deklarował się politycznie. Zapalczywego endeka mieliśmy jednego, Kazimierza Hałaburdę, ten został wywieziony i umarł w gułagu na dyzenterię. Z innych członków Klubu: nasz senior Gasiulis został rozstrzelany za współpracę z tymiż władzami; Jędrychowski został "wybrany" do sejmu Litwy i głosował za włączeniem Litwy do Związku.

Koniec Wielkiego Xięstwa

Autor: Czesław Miłosz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

Moralne oburzenie Beynara jest szczere i powtarzając za Jądrem ciemności Conrada "Ohyda! ohyda!", na pewno wyraża uczucia wielu swoich rówieśników. Wglądnąwszy jednak bliżej w jego artykuł, nie znajdzie się w nim wiele poza stanem uczuciowym.

Pierwszy zarzut dotyczy charakteru Mackiewicza, którego Beynar oskarża o tchórzostwo, bo skoro zalecał opór wobec komunizmu choćby kosztem zniszczenia całego polskiego narodu, to dlaczego nie poszedł do lasu (jak on sam, Beynar)? Dla tych, co znali Mackiewicza, jest to jedynie chwyt demagogiczny. Drugi zarzut dotyczy powieści Droga donikąd, którą Beynar nazywa nikczemną. Dlaczego? Dlatego, że inne narodowości są w niej pokazane przychylnie, natomiast Polacy oczernieni i że nie ma w niej wzmianki o ZWZ, z którego narodziła się później AK. Jak też, że nie ma w tej książce miłości do ziemi rodzinnej jak w Panu Tadeuszu (?). Ale przecie Droga donikąd istnieje i obroni się sama. Atak na nią naprowadza być może na powody, dla których trudno być polskim powieściopisarzem. Gdyby ktoś w ubiegłym stuleciu tak Polskę przedstawił jak Gogol Rosję w Martwych duszach, z pewnością zasłużyłby na miano nikczemnika. Trzeci wreszcie zarzut - że Mackiewicz drukował w gazecie gadzinowej. Pewnie, że nie powinien był tego robić. Ale co drukował? Właśnie kilka rozdziałów Drogi donikąd, którą Beynar uznał za paszkwil.

W nagonce na Mackiewicza brało udział dziwne towarzystwo, bo i patrioci i ukryci agenci sprawców mordu w Katyniu. Leżało jak najbardziej w interesie tych ostatnich, żeby świadka ogłosić faszystą i kolaborantem. Właśnie teraz zajrzałem do teczki z listami Mackiewicza do mnie z lat 1969-1970. Dotyczą starań, jakie robiłem, żeby polecać jego książki wydawcom amerykańskim i niemieckim, z małym powodzeniem, bo za każdym razem nawijał się ktoś z Polaków, dbały o to, żeby zamiar wydania książki ubić. Mackiewicz i jego żona, Barbara Toporska, też pióro znakomite, żyli w skrajnym ubóstwie. Muszę się zgodzić z tym, co Mackiewicz pisze w jednym z listów, że w porównaniu z nimi Gombrowiczowi znakomicie się powodziło.

Mackiewicz płacił za swoją podróż w 1943 do Katynia na zaproszenie władz niemieckich. Z polskich pisarzy jeździł tam też Ferdynand Goettel. W Warszawie pamiętano jego przedwojenne otwarte pochwały faszyzmu, a w 1940 roku zdradzał nieśmiało skłonności do kolaboracji, bo zarejestrował się jako wolny zawód, literat, i kolegów do tego namawiał. Wielu zarejestrowało się, że niby bezpieczniej. Jednak Goettel miał dobre wyczucie społecznych presji i nakazów patriotycznego kodeksu, toteż nie posunął się dalej w ugodowości wobec Niemców. I chociaż pojechał do Katynia, nikt go jakoś później na emigracji nie piętnował jako kolaboranta. Natomiast Mackiewicz, który ze wszystkimi chodził na udry, nie liczył się z publiczną opinią i był z temperamentu pieniaczem, jadąc do Katynia umacniał nieprzychylnie jego osobie nastroje i nikogo nie obchodziło, że pojechał za zgodą polskich władz podziemnych.

Koniec Wielkiego Xięstwa

Autor: Czesław Miłosz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

Czy Polacy powinni byli, w imię wyższej dyplomatycznej racji, udawać, że nic a nic Niemcom nie wierzą i groby katyńskie dodać do innych hitlerowskich zbrodni? Wymagałoby to zdławienia w sobie moralnego protestu, nadludzkiej niemal dyscypliny. Państwo sowieckie dokładało ogromnych starań, żeby przekonać cały świat o swojej niewinności i jego sojusznicy brali to za dobrą monetę albo udawali, że biorą, czyli Polacy zostawali sami, z prawdą, ale z prawdą głoszoną przez ich wrogów. I któżby im wierzył, jeżeli byli znani ze swoich antysowieckich "urazów"? Cóż za paradoksalne równanie, godne filozoficznej analizy.

Niedawno, będąc w domu znajomych, wziąłem przypadkiem z półki grubą książkę amerykańskiego korespondenta w Moskwie, Harrisona E. Salisbury, *Journey For Our Times, A Memoir* (1983) i natrafiłem na ustęp, który jest świadectwem o podróży dyplomatów i dziennikarzy zachodnich do Katynia. Czytałem to i prawie zbierało mi się na wymioty.

"Kathy Harriman była w Moskwie z jej ojcem, teraz ambasadorem w Moskwie. Miała posadę w Office of War Information i spełniała funkcje pani domu, wnosząc życie i wesołość w banalną scenerię. Przekształciła salę balową ambasady w kort do gry w badmingtona i znalazła zapas starych hollywoodzkich filmów na strychu. Były tak kruche, że pękały co chwila podczas pokazu, jednak puszczałyśmy je i tak".

"Kathy była obecna, kiedy ogłoszono wiadomość o Katyniu i powiedziała, że chce pojechać. Rosjanie natychmiast zaprosili ją i Johna Melby, młodego attache ambasady. Przygotowali specjalny pociąg - międzynarodowe wagon-lits, wagon restauracyjny wykładany mahoniem, mnóstwo kawioru, szampana, masła, białego chleba, wędzonego łososia, ciastek, beef Strogonoff, kotletów kijowskich - i wyruszyliśmy, żeby wglądnać w jedną z wielkich tragedii wojny".

"Rosjanie odbili Smoleńsk we wrześniu 1943 i zbierali się teraz do uruchomienia swojej propagandowej bomby. Korespondenci zachodni byli zaproszeni jako część dekoracji. Nie wydaje mi się, żeby udział Kathy Harriman i Johna Melby był kalkulowaną polityką U.S. Myślę, że nastąpiło to jako podyktowany przez chwilę odruch, jakkolwiek Averell Harriman rzeczywiście miał dosyć "londyńskich" Polaków i kiedy wrócił z Katynia, powiedział mi, że od dawna był przekonany o tym, iż Polacy dali się nabrać na niemiecką wersję zbrodni i że to, co zobaczył, utwierdziło go w jego przekonaniu".

"Jestem głęboko wdzięczny sowieckiemu wydziałowi prasy za urządzenie tej wyprawy. Była to (i pozostaje) dobra lekcja sowieckich metod. Żenujący był luksus tego pociągu, wyposażonego

w śnieżnie białą pościel, pierzynki, pachnące mydła, biało ubranych kelnerów, luksus jak dla Cara".

"Zresztą mógł to być jeden ze specjalnie dla Cara przeznaczonych pociągów. Siedzieć w wagonie restauracyjnym przy stole pełnym butelek, kryształów i sreber, talerzy, na których piętrzyły się zakuski i zza koronkowych firanek oglądać obok, na sąsiednim torze, drewniane towarowe pociągi, skąd ranni krasnoarmiejcy z głowami w krwawych bandażach, rękami w gipsie, amputowanymi nogami, przyglądali się nam dygocząc dokoła swoich piecyków, było niemal nie do zniesienia".

Autor tego świadectwa, podobnie jak inni dziennikarze, nie został przekonany rzekomymi dowodami, jakie im przedstawiono. Toteż powstrzymał się od opinii, czym dziełem był Katyń. Ale amerykański ambasador w Moskwie, Averel Harriman, dał się przekonać. A mieć ambasadora amerykańskiego jako swojego wroga na pewno dodawało do katastrofalnej sytuacji polskiego rządu w Londynie.

Józef Mackiewicz widział groby katyńskie i napisał, co zobaczył. Przypadkiem był też świadkiem, jak odbywało się mordowanie Żydów przez Niemców w Ponarach i też zostawił rzeczowy raport. I dopóki będzie istnieć polskie piśmiennictwo, te dwa zapisy grozy dwudziestego wieku powinny być stale przypominane, po to, żeby dostarczały miary wtedy, kiedy literatura zbyt oddala się od rzeczywistości.

Mackiewicz był pisarzem realistą i w porównaniu z jego zaciekłością w odtwarzaniu " jak naprawdę było" inne odmiany realizmu ukazują swoją bladość albo fałsz. Obca mu była cała wysoka sofistykacja literackich dyskusji i nie zastanawiał się nad niemożliwym do przewyciężenia dystansem pomiędzy rzeczywistością i słowami. Ani nad powszechnie zapowiadany koniec powieści. Staroświecki z uporu, posługiwał się językiem jako narzędziem, nie pozwalając stylowi usamodzielnic się i wziąć górę nad piszącą ręką. Powieść była dla niego dalej "lustrem ustawionym na gościńcu" i dbał o absolutną wierność szczegółu.

Droga donikąd i Nie trzeba głośno mówić tworzą razem epos końca. Jest to koniec Wielkiego Xięstwa Litewskiego, czy też jego resztek, tak jak dotrwały do 1939 roku, koniec też Wilna jako miasta o ludności polskiej i żydowskiej. Innej niż ta powieść kroniki nie ma. Kolejno jest to obraz życia pod rządami sowieckimi od czerwca 1940 do czerwca 1941, czyli do ataku Niemiec na swego poprzedniego sojusznika, i niemieckimi. Ostatnie rozdziały drugiej powieści dają obraz Warszawy 1944 roku, gdzie znalazł się wtedy sam Mackiewicz, uciekinier z Wilna.

Pisania Mackiewicza o wojnie są zupełnym wyjątkiem w obfitej polskiej literaturze na ten temat. Obowiązuje w niej wzór patriotyczny, walka Polaków z Niemcami. Mackiewicz na ten wzór pozostał mniej czy bardziej obojętny, w czym można się dopatrzeć jego własnej niechęci do obiegowych pojęć i wpływu wielonarodowościowego Wilna. Dwie zasadnicze postawy polskie ścierały się w tym stuleciu ze sobą: niepodległość Polski jako cel wszelkich walk i wysiłków, i poświęcenie tej niepodległości w imię komunistycznego internacjonalizmu. Żadna z nich nie znajduje uznania u Mackiewicza, co więcej, odnosi się on do nich wrogo. Ci, którzy niepodległość odrzucili w imię komunizmu, jak w Wilnie Dembiński czy Jędrychowski, są dla niego nie tyle zdrajcami Polski, ile agentami państwa niosącego nieszczęście ludziom różnych narodów. Natomiast niepodległościowcy - stąd jego negatywna ocena AK - są zaślepieni swoim skoncentrowaniem się na walce z niemieckim zaborcą i nie zdają sobie sprawy z tego, że licząc na zwycięstwo zachodnich Aliantów, przygotowują zwycięstwo sojusznika tych Aliantów, czyli Rosji. Mackiewicz w swoich powieściach i swojej publicystyce występuje jako zwolennik antysowieckiego internacjonalizmu, czyli antykomunistycznej międzynarodówki. Stąd wynikają poważne konsekwencje, również artystyczne, bo jego postacie nie są podzielone według kryteriów narodowościowych. Wśród tych, które darzy sympatią, są Polacy, Litwini, Białorusini, Niemcy, biali Rosjanie, uwikłani w różne podziemne ruchy, potencjalni uczestnicy zbiorowego, międzynarodowego oporu wobec systemu.

Nie sposób traktować poważnie wszystkiego, co pisał Mackiewicz-antykomunista. Niektóre jego artykuły są wręcz obsesyjne i graniczące z paranoją, według znanego wzoru wietrzenia wszędzie agentur, nawet w Watykanie. Toteż układając wybór jego pism publicystycznych, należałoby pamiętać, że płacił fantazjowaniem czy nawet wariactwem za stałość swoich poglądów. Odsiew oczywistych błędów spotka po śmierci wszystkich chyba piszących i myśl o tym powinna nas ustrzec od występowania w todze surowych sędziów.

Dwa otrzymane wczoraj listy są dla mnie przeżyciem, jeden od J., drugi od M. Te moje rówieśniczki i koleżanki z wydziału prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie nie tylko prowadzą mnie nitką sentymentów w przeszłość, istnieją jako osobowości tak cenne, że uważam siebie za szczęśliwego, mogąc o nich myśleć. Bo w tym naszym mieście były niezwykle dziewczęta i jakże ubodzy są ci wszyscy, których pamięć nie może odwołać się do tak wartościowych okazów ludzkich. A mówię to teraz, kiedy są siwe i hodują wnuki, a ja znam mniej więcej ich życie pełne błędów i tragedii.

Z M. nigdy nie byłem blisko, ale przyglądałem się jej. Na swój plus to zapisuję, że jej wypukłe szkła osoby krótkowzrocznej nie przeszkodziły mi ocenić jej wdzięku. Była urocza, ślicznie zbudowana, ale oczywiście ani jej w głowie były faramuszkę, skoro zaciekle goniła wielkie cele. Ona i jej siostra należały do wewnętrznego kręgu dokoła Jędrychowskiego i Dembińskiego,

Koniec Wielkiego Xięstwa

Autor: Czesław Miłosz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

czyli Po prostu i Karty, a później w powojennej Polsce do znanych postaci "grupy wileńskiej". Pochodziły z rodziny bardzo katolickiej i w komunizmie znalazły nową religię, tak jak Zosia Westfalewicz, żona Dembińskiego, której siostra była zakonnica.

List M., pisany jej śmiałym, zdecydowanym pismem, komentuje m.in. mój wiersz o złamaniu tabu przez rzucenie kamieniem w węża, który znalazła w krajowym wydaniu Świadectwa poezji i dodaje: "Ale skoro już jesteśmy przy wężu, napiszę Ci o rybach. W dzieciństwie weszłam do kuchni, gdzie skakały żywcem oskrobane przez gospodynię ryby. Zawsze bardzo bliskie mi były zwierzęta. Więc zaczęłam je zabijać (przez litość) waląc ich głowami o ścianę. Byłam cała w ich krwi. To była sytuacja, z której nie było dobrego wyjścia. Ale zastanawiam się, czy potem, już dorosła, nie byłam jak ci wychowankowie Sorbony".

W kilku zdaniach M. (nasz wydział prawa kształcił wybitne inteligencje) daje historię swoją i swojej grupy. Litość nad ludźmi prowadziła do zaangażowań, które nie były dobrym wyjściem. A wychowankowie Sorbony, wykształceni na filozofii Sartre'a, praktykowali ludobójczy terror w Kambodży.

Dalej M.:

"Żeby było weselej, napiszę, jak Cię pamiętam. Pochylnia z Sali Śniadeckich, ty lecisz na czele grupy robotników i studentów goniąc bojówkę endecką, która chciała rozbić wieczór poezji różnych narodów. Masz taką minę wilkołaka, jaką umiałeś robić, zęby na wierzchu, oczy wytrzeszczone, w rękę trzymasz szczątki krzesła. I wyjesz.

Drugi obrazek: stoimy przy stole w Kole Prawników i o coś się kłócimy, nie pamiętam o co, chyba o politykę, bo mówisz do mnie ze złością: ty zawsze byłaś i zostaniesz dewotka. Widocznie mi dogryzłeś, jeśli to pamiętam. Przeżyłam dwie dewocje, a na trzecią już mnie nie stać. To skutek nie tylko starości, ale między innymi literatury, która mi towarzyszy od dziecka".

W innej części listu M. mówi o przemówieniu Brodskiego w Sztokholmie na chwałę literatury: "Josip Brodski na Noblu powiedział to, co chciałam Ci napisać, tylko o wiele piękniej".

Moje myślenie o nich, tych dziewczętach z Wilna, a dziś starych kobietach, nie nadaje się właściwie do przekazu prozą, jest tak naładowane skrótami i tak wielowarstwowe, że wymagałoby jakiegoś szczególnego rodzaju poezji miłosnej. Czas w niej pewnie by się cofał do lat, kiedy byliśmy w niższych klasach gimnazjum, kiedy M. zabijała ryby w kuchni, a J. nosiła marynarski kołnierz mundurka szkoły Sióstr Nazaretanek. Prawdopodobnie w tych uparcie wracających obrazach wspólnoty poprzez dzieciństwo wyraża się moja tęsknota do przywrócenia, do apokatastasis, czy też do zaczynania na nowo, a więc do chwili, kiedy jeszcze nic nie musiało być tak, jak później się stało, kiedy jeszcze (wyobrażając sobie jakąś zupełnie inną epokę, inne obyczaje itd.) nie musieliśmy być rozdzieleni. A kto wie, czy taka poezja miłosna nie rodzi się z marzenia o "seksualności anielskiej" Swedenborga, z chęci pełnej identyfikacji, niemal przemiany w drugiego, nie bezpłciowo, ale z przeniknięciem także jego innej płci.

O liście J., troszczącej się o mój stan zdrowia, lepiej żebym nie pisał. Bo za dużo nici zaraz bym musiał wyciągnąć. Zastanawia mnie jej stała skłonność minorowa, do pomniejszania siebie, aż, gdyby jej wierzyć, nieprawdą jest, że ma wybitne zalety umysłu i charakteru. Zawsze o sobie, o swojej chorobie i prawdopodobieństwie rychłej śmierci, z niedbałością, wzruszeniem ramion.

Wieczór poezji różnych narodów, o których przypominała M. Sprzeciwiając się "narodowemu" Wilnu mieliśmy różne kontakty i myślę, że niektóre ich ślady są przypominane, na przykład w 1972 roku w pociągu Rotterdam - Paryż, kiedy wracając ze zjazdu poetów rozpiliśmy piersiówkę z Abramem Sutzkewerem, który przeżył getto wileńskie i jest autorem podstawowej książki o zbrodniach niemieckich w Wilnie. Myślę też, że te kontakty wyjaśniały, przynajmniej częściowo, sekret Władysława Ryńcy. Bo jak zostaje się milionerem podczas wojny, zakładając firmę transportową? Ryńca (gwarowe "Reka") pochodził ze Śląska. W Wilnie znalazł się jako student - jeszcze jeden mój kolega z prawa. Politycznie wywodził się ze "Strzelca", tak jak inni (Jędrzychowski) z "Legionu Młodych", a był to okres "lewicowienia" tych sanacyjnych organizacji. Na uniwersytecie został jednym z głównych działaczy naszego bloku antyendecckiego w wyborach do Bratniej Pomocy, wyróżnił się też jako znakomity mówca. Później został na obrzeżu grupy i nie zbliżył się do komunizmu. Co robił w latach 1934-1939, nie umiem powiedzieć (adwokatura?), a już chyba nie potrafię dojść jak zmienił się z ubogiego syna górnika w finansowego potentata, operując od 1941 roku gdzie? - na linii Wilno - Mińsk - Warszawa, czyli na terenach narodowościowo mieszanych, tych właśnie, które Józef Mackiewicz opisał w powieści Nie trzeba głośno mówić. Wydaje mi się, że jednym z czynników godnych uwagi była ogromna ilość płynnej gotówki w Winie, w złocie i w dolarach, której w niczym nie opłacało się inwestować. Wspólnik Ryńcy, Krywitzki, był Żydem z Rygi i być może mobilizował te kapitały. Krywitzki działał w biurach firmy w Wilnie i Mińsku, które zostały zlikwidowane w miarę przesuwania się frontu, i w 1944 zjawił się w Warszawie, gdzie go poznałem. Był chroniony przez dobre aryjskie papiery, w ogóle Wilno miało jedne z najbardziej artystycznych wytwórni fałszywych dokumentów. Z Warszawy, nie czekając aż przyjdą Rosjanie, wyjechał do Pragi czeskiej i tam zginął, w nieznanym mi okolicznościach. Innym czynnikiem powodzenia Ryńcy był pewnie jego geniusz dyplomatyczny i brak

narodowościowych przesądów. Firma była kryta jako zajmująca się dostawami dla wojska i miała wysoko postawionych Niemców na swoim żołdzie. W istocie przeprowadzała ogromne operacje walutowe na czarnym rynku. A ciężarówki szły wyładowane wszystkim, tylko nie dostawami dla wojska, bronią, owszem, ale nie przeznaczoną dla Niemców. Ryńca należał do naszej socjalistycznej "Wolności" (był też łącznikiem między Bundem w getcie wileńskim i Bundem w getcie warszawskim), a przez to do podziemia "londyńskiego", dla którego móc korzystać z takiej sieci transportowej było ważne. Woził pieniądze i broń dla oddziałów AK, ale domyślam się, że szlak do Mińska, prowadzący przez lasy pod kontrolą sowieckiej partyzantki, miał zabezpieczony dzięki odpowiednim układom i świadczonym usługom. Jego ciężarówki przewoziły też uratowanych z wileńskiego getta Żydów, nie za pieniądze, jeżeli mam sądzić po wypadku Seweryna Trossa. Tross pisywał przed wojną do pisma Orka na ugorze tak jak mój brat Andrzej, i znalazł się w Wilnie jako uchodźca z Warszawy. Mój brat ukrywał tego swego kolegę przez pewien czas w mieszkaniu naszych rodziców w Wilnie, na Zarzeczu, przy ulicy Popowskiej. Następnie Tross i jego żona zostali załadowani na ciężarówkę Ryńcy i wyładowali w Warszawie, gdzie znalazłem dla nich dobrą melinę. Niestety zginęli w powstaniu warszawskim, ale nie jako Żydzi, po prostu jako ludność cywilna. Cała działalność firmy była, z niemieckiego punktu widzenia, kryminalna i trudno pojąć, że nie było żadnej wpadki. Geniusz Ryńcy i tutaj się okazał, bo stworzył zespół (pamiętam jego szoferów), na którym mógł absolutnie polegać, scementowany na zdrowszych zasadach niż stosunki szefa z podwładnymi. Rodzinność tej grupy "swoich chłopców" z Wilna wykluczała donos, najczęstszy powód katastrofy.

Pisałem o Władku Ryńcu w Rodzinnej Europie, nazywając go literą W., ale znów do niego wracam, bo naprawdę mi imponował i do dziś staram się zrozumieć, jak to wszystko robił. Po wojnie założył, jak planował, firmę wydawniczą i stałby się na pewno panem wydawniczego rynku, zaraz jednak przedsiębiorstwo utrupiono w ramach walki z inicjatywą prywatną. Wtedy został adwokatem i specjalizował się w sprawach spadków, m.in. amerykańskich, korzystając z tego, że wskutek powiązań z "grupą wileńską" dostawał paszporty na zagraniczne podróże.

Osadzanie Mackiewicza według politycznych kryteriów nie zaprowadzi daleko. Dajmy na to, że był maniakiem, Don Kichotem, utopistą, niemniej to polityczna pasja odżywiła jego pisarstwo, które było ściśle realistyczne, ale zarazem chciało służyć, czyli być pisarstwem z tezą. A tezy brały się z jego uczciwości i moralnego oburzenia. Ciągłe zapytywał: "Jak to jest możliwe?" i chciał być głosem wołającym na puszczy, kiedy wszyscy inni milczeli. Na szczęście nie był politykiem.

Ostatnie rozdziały Nie trzeba głośno mówić dają miarę różnic aury pomiędzy Winem i Warszawą, tak jak je odczuwał przybyły z Wilna latem 1944 roku Mackiewicz. I obraz Warszawy, zwariowanej, lekkomyślnej, obojętnej na strzelaniny tu i ówdzie, dumnej ze swego bohaterstwa, wesołej, bo blisko zwycięstwo, jest u niego poprawny. Dla Mackiewicza była to

beztroska dzieci, które nie chcą wiedzieć, że jeszcze chwila, a nic nie zostanie z ich zabawek, tak jak nic nie zostało w Wilnie.

Mackiewicz po przyjeździe do Warszawy wyraził życzenie spotkania się ze mną i z Januszem Minkiewiczem. Odbiliśmy długą rozmowę. Z jego strony było to powtarzane na różne sposoby pytanie "Jak to jest możliwe?". Więc teraz, kiedy jasne dla każdego, że Alianci są daleko, nic? Żadnej próby dogadania się, choćby w ostatnim momencie, z przegrywającymi Niemcami, skłonnymi już do ustępstw? Teraz przecie można by było wydawać pismo, żeby mówić głośno prawdę o okupacji sowieckiej, tłumioną przez polskie podziemie na usługach Londynu, a pośrednio Moskwy. Słuchaliśmy go z niedowierzaniem, jak się słucha człowieka niespełna rozumu. I wyśmialiśmy go. Powiedzieliśmy mu, że nie ma żadnego rozeznania w tutejszych nastrojach, że nikt by z takim pismem nie współpracował, że kolaborantom, Emilowi Skiwskiemu i Feliksowi Rybickiemu, nikt nie podaje ręki, a on, gdyby zaczął wydawać takie pismo, zostałby napiętnowany jako zdrajca. Mackiewicz nic nam nie powiedział o gazetce Alarm, której trzy numery podobno wydali wiosną 1944 r. we dwójkę z żoną.

Opowiadając to, nie uważam, że obciążam Mackiewicza, który w tym wypadku oświadczał się za kolaboracją, skąd mogłoby wynikać, że uprawiał ją dawniej. Otóż nie wynika. Był to wówczas człowiek zrozpaczony i być może bardziej zrozpaczony niż Minkiewicz i ja, bo my zachowywaliśmy jakieś nadzieje.

Dobrze, że wspomniałem o Władysławie Ryńcy i jego działaniach w trójkącie Wilno-Mińsk-Warszawa, bo dają pewne pojęcie o niesłychanej gęstości i zawłości tamtejszych ludzkich losów za niemieckiej okupacji. Ich obraz musi sprzeciwiać się polskim wyobrażeniom, mocno wypaczonym przez patriotyczną konwencję. Rzeczywistość lat wojny na tamtych terenach została też całkowicie ukryta i przerobiona przez oficjalnych historyków. Jest faktem, że Niemcy byli tam witani jako oswobodziciele po swojej stronie. A tak jak się sprawy ułożyły, schemat bojowników i kolaborantów ujmuje zaledwie drobną część prawdy. Była to trzystronna gra, przy czym ogromna większość ludności lawirowała, zabezpieczając się u jednych i drugich, a istniały też niezależne enklawy, jakby oddzielne państewka zakładane przez zbrojnych watażków. Wiedza o tym wszystkim zmieniała perspektywę Mackiewicza, dobrze służąc jego obiektywizmowi.

Powieści Mackiewicza skłaniają do sceptycyzmu wobec literatury, bez ustanku przyrządzanej w coraz to innym sosie, w sosie obowiązującej w danym momencie mody, ideologii, polityki i tak dalej. Mają żywą narrację, zaciekawiają tak, że "nie można się oderwać", czyli spełniają wszelkie warunki niezbędne wtedy, kiedy powieść zajmowała miejsce zajęte później przez film i telewizję. Zawsze chyba istniała literatura zawodowa i niezawodowa. Do Mackiewicza nikt nie

Koniec Wielkiego Xięstwa

Autor: Czesław Miłosz

Sobota, 25 września 2010 - Poprawiony Piątek, 01 października 2010

chciał się przyznać i dlatego, że taki literacko zacofany, i dlatego, że okropny reakcjonista, ale czytali, aż im się uszy trzęsły. I moim zdaniem pobił swoich współzawodników piszących bardziej wyszukaną prozą. Pobił artystycznie. Można zastosować do nich powiedzenie sowieckiego żołnierzyka: Francuzi w szelkach, no wojnu proigrali (Francuzi w jedwabiach, ale wojnę przegrali). Jego proza jest zwarta, oszczędna, funkcjonalna, widzi się, co opisuje, a już specjalnie krajobraz jego okolic. Pośród znanych mi polskich literatów nikt tak nie pisał. Ale i Prus, i Żeromski byli w porównaniu z nim literatami zawodowymi. Szlachcic szaraczkowy, jak go nazwałem, z tych upartych, wzgardliwych, zaciekłych milczków, pisał na złość. Na złość całemu światu, który czarne nazywa białym i nie ma nikogo, kto by założył veto. I właśnie w tej pasji jest sekret jego stylu.

Czesław Miłosz

"Kultura". Paryż. 1989 r. nr.5 (500)

Nasz Czas 2/2005 (652)